Nr. 42 Rok 3 Kraków, dnia 18 października 1942. 40 gr.

Ilustrowany Kurjer Polski

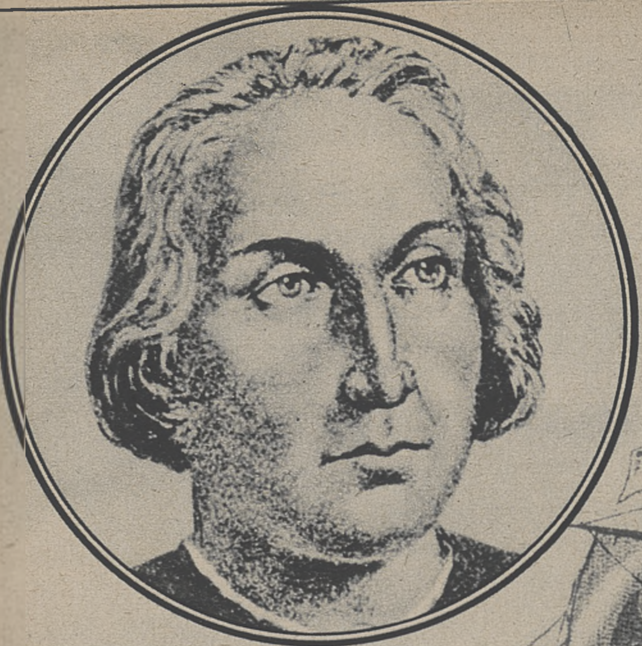


DALIE

450 ROCZNICA ODKRYCIA AMERYKI W DNIU 12 PAŹDZIERNIKA

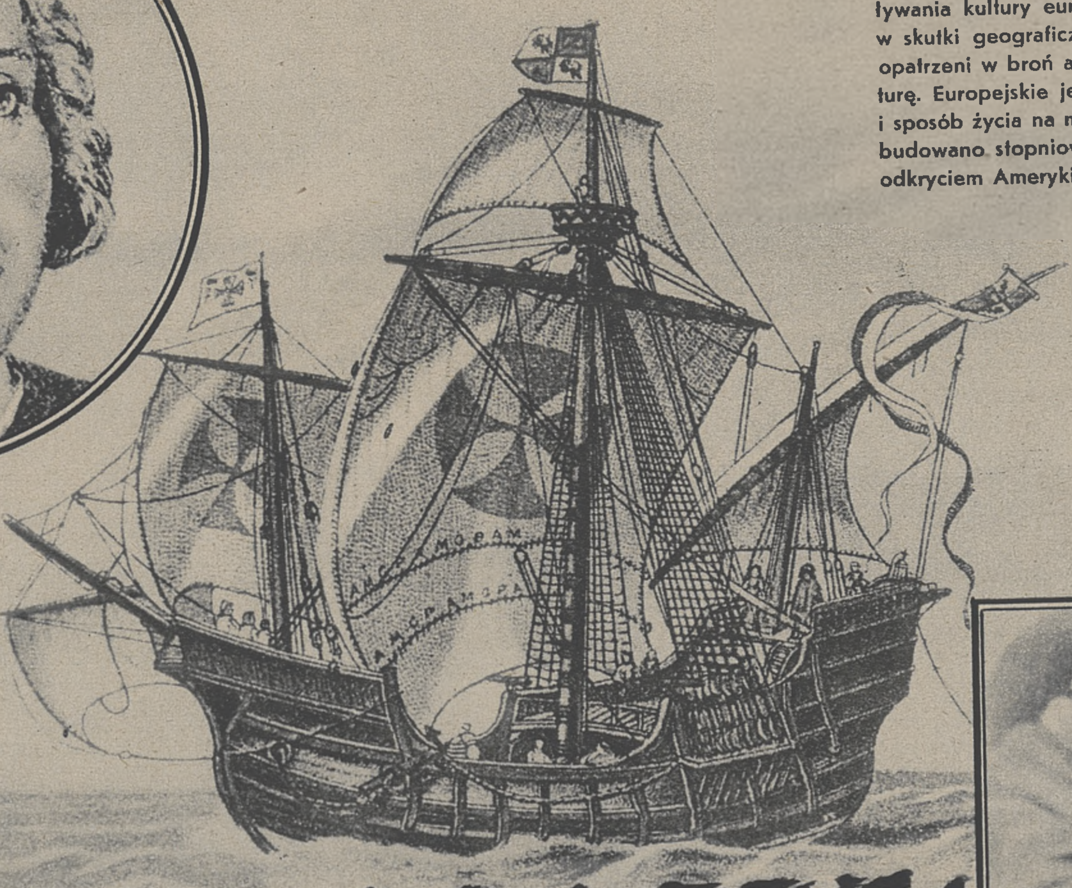
KRZYSZTOF KOLUMB EUROPEJCZYKIEM

Gdy Kolumb po raz pierwszy stanął na lądzie leżącym z tamtej strony Atlantyku, był reprezentantem Europy i zwiastunem przyszłego oddziaływania kultury europejskiej. Z Europy więc wyszło brzemienne w skutki geograficzne odkrycie XV stulecia. Badacze i żeglarze zaopatrzeni w broń aż tam zawlekli z sobą europejskie zwyczaje i kulturę. Europejskie języki, europejski sposób myślenia, styl budowania i sposób życia na modłę europejską były tym fundamentem, na którym budowano stopniowo świat położony za oceanem. Co istniało przed odkryciem Ameryki w niektórych okolicach tego kontynentu jako rodzima kultura, to mimo całej swej wielkości i monumentalności osiągnęło już tak niebezpieczny stopień dekadencji, że wymagało nawet własnych ludzi jako ofiar. Od chwili odkrycia Ameryki upływa 450 lat. I dziś właśnie nadarzyła się pożądana okazja przypomnienia tych rzeczy prezydentowi USA, który sądzi, że musi obecnie odkryć Europę i jako przedstawiciel chciwości i awanturniczości strąca swój naród w krwawe boje historii świata.



KRZYSZTOF KOLUMB

Wyruszywszy z zamiarem dotarcia do Indii, od zachodniej strony, wielki ten odkrywca wylądował po raz pierwszy w dniu 12 października 1492 r. na zachodnich wybrzeżach Ameryki.



„SANTA MARIA"

Żaglowiec, na którym Krzysztof Kolumb odbył swą pierwszą podróż odkrywczą do Ameryki.

Fot.: Weltbild 2
P. B. Z. 2
Scherl 2
ϟϟ KB. King 1
Atlantic 1

TYGODNIK



U góry:

NA NOWYCH TERENACH WOJENNYCH

Niemieckie łodzie podwodne zatopiły, przed Kapsztadem koło południowego przylądka Afryki, okręty handlowe o łącznej pojemności 74 000 ton, należące do konwoju aliantów. Dzieła tego dokonały łodzie podwodne państw osi tam, gdzie siły morskie aliantów czuły się zupełnie pewnymi.

U dołu:

ZNISZCZYŁ 13 CZOŁGÓW SOWIECKICH

Ten oto żołnierz niemieckiej piechoty, zniszczył celnymi strzałami wśród zaciekłych walk, na południowy zachód od Woroneża, 13 czołgów sowieckich i uszkodził pięć innych. — Na ilustracji widzimy go w chwili, gdy opisuje kolegom swą walkę z „olbrzymami sowieckimi". Za ten waleczny czyn otrzymał Żelazny Krzyż Rycerski i awans na podoficera.





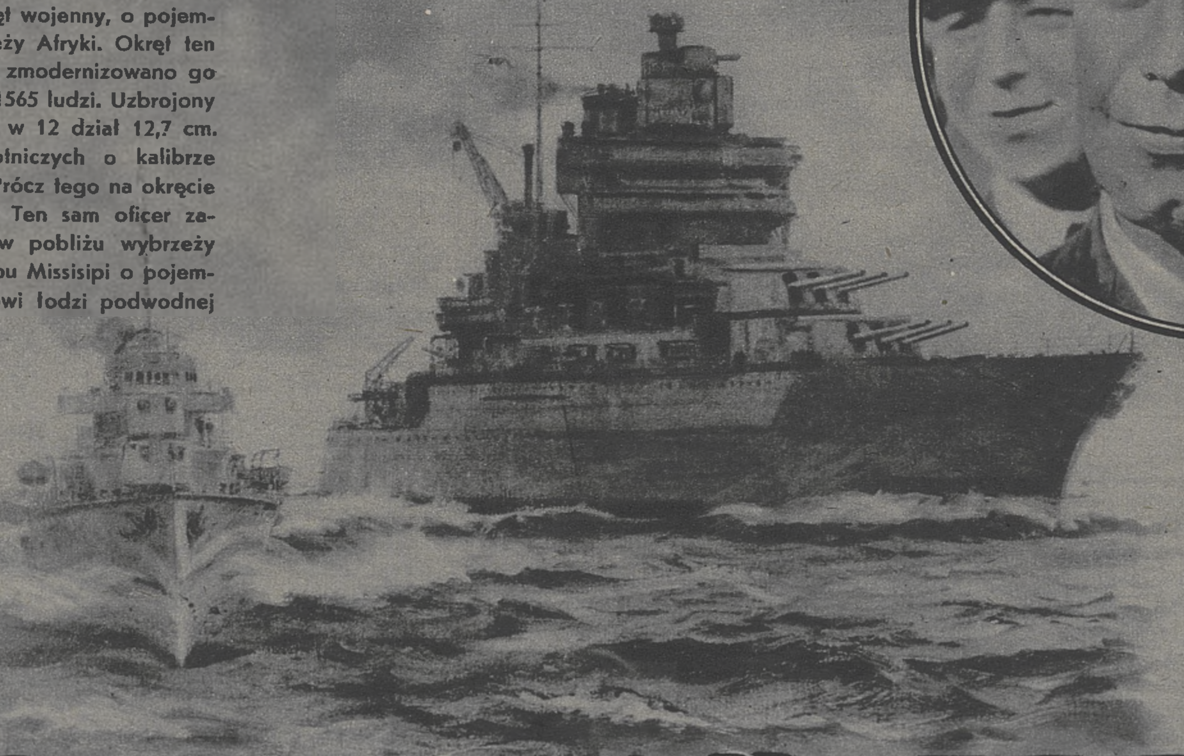
NOWE SUKCESY WŁOSKICH ŁODZI PODWODNYCH

OKRĘT WOJENNY „IDAHO" I PAROWIEC HANDLOWY „IRONSIDE" ZATOPIONE!

Włoski kapitan łodzi podwodnej, Enzo Grossi, odznaczony obecnie przez Niemcy orderem Rycerskim Żelaznego Krzyża, mistrzowskim strzałem 4 torped w przednią część okrętu, zatopił wielki amerykański okręt wojenny, o pojemności 33 000 ton u zachodnich wybrzeży Afryki. Okręt ten wypuszczono ze stoczni w r. 1917, a zmodernizowano go w r. 1933. Załoga jego składała się z 1565 ludzi. Uzbrojony był w 12 dział o kalibrze 36,6 cm i w 12 dział 12,7 cm. Ponadto posiadał 8 dział przeciwlotniczych o kalibrze 12,7 cm, cztery o 5,7 cm i 12 o 4 cm. Prócz tego na okręcie tym znajdowało się cztery samoloty. Ten sam oficer zatopił poprzednio, w dniu 20 maja w pobliżu wybrzeży Brazylii amerykański okręt wojenny typu Missisipi o pojemności 32 000 ton. Włoskiemu kapitanowi łodzi podwodnej Guido Saccardowi udało się w tych dniach zatopić na Atlantyku angielski parowiec „Ironside" o pojemności 20 000 ton.



KAPITAN FREGATY ENZO GROSSI — WŁOCHY zniszczył czterema trafieniami torped swej łodzi podwodnej, amerykański okręt wojenny „Idaho", klasy Missisipi — na wysokości Freetown u wybrzeży zachodniej Afryki.



Na lewo: AMERYKAŃSKI OKRĘT WOJENNY KLASY MISSISIPI



WOJENNY



„UWAGA! LOTNIK SOWIECKI NA PRAWO!"
Załoga niemieckiego okrętu strażniczego zaalarmowana atakiem lotnika sowieckiego, śle nacierającemu nań samolotowi stalowe pociski.

U dołu:
NA POLU GRUZÓW W STALINGRADZIE
Niemieckie działa szturmowe, pod których ochroną piechota wyrusza do ataku, suną naprzód przez zupełnie zniszczoną dzielnicę Stalingradu.



PODOLSKIE

Z poszumem kręcą się wrzeciona w zgrabnych rękach dorodnych Podolanek. Snuje się cieniutka, iście pajęcza nić.

Zaproszone „z kądzielą" na dzisiejszy wieczór młode dziewczęta z sąsiednich chałup, nieodstępne przyjaciółki Marysi, rozsiadły się wygodnie na ławach pod oknami i piecem. Na dostawionej pośrodku izby ławce, rozłożyły się z kądzielami i kołowrotkami gadatliwe, młode mężatki.

Sam gospodarz — stary i znużony całodzienną pracą, zakurzywszy fajkę, przysiadł na brzegu łóżka.

Kilku parobczaków zagościło o późnym zmroku, a w kilka godzin potem, wsunął się do izby przygodny grajek ze skrzypcami.

Grano tu i śpiewano przy wtórze skrzypiec — śmiano się beztrosko; rozmowa potoczyła się raźniej i żywiej, i tak wesoło, niepostrzeżenie mijały godziny, płynął czas długiego, jesiennego wieczoru.

Bezwiednie i jakby machinalnie kręcą ręce wrzeciona i kołowrotki, nawijając nieprzerwaną nić.

Gdy nastąpił ranek i usłyszano kur pianie, wtedy pracowite i ochocze, roześmiane prządki rozbiegły się do swych domów, by oka zmrużyć i odpocząć nieco.

W niezapomnianej atmosferze beztroski w towarzystwie prządek, spędziłem jesienny wieczór, niosąc ze sobą w dal smętne melodie skrzypiec i niezatarty obraz, gwarnej, upstrzonej kwiatami i zielenią, wiejskiej izby.

Ten sielankowy i niepozbawiony romantyzmu obrazek — obdarty i zeszpecony modernizacją wsi, w ostatnich latach przedwojennych — oglądałem podczas kilkudniowego pobytu w Bajkowcach obok Tarnopola.

Machina dzisiejszej wojny, gigantyczna w swych rozmiarach, z konieczności wielkich potrzeb frontowych, podporządkowała sobie nieomal wszystkie fabryki i warsztaty pracy.

Względy to zrozumiałe i jasne. Nic więc dziwnego, że człowiek pozafrontowy, a zwłaszcza mieszkaniec wsi, zdany jest na wielkie ograniczenia w dziedzinie wielu przedmiotów, nawet codziennego użytku. Szczególnie dotkliwie odczuwa się braki w dziedzinie materiałów przemysłu tekstylnego. Wojna w mniejszym lub większym stopniu wytrąciła możność zaopatrywania ludności cywilnej nie tylko w tekstylne fabrykaty zagraniczne, lecz także mocno okroiła dostawy krajowe, a przeładowana dowozami wojennymi, komunikacja i wyjątkowa koniunktura jeszcze bardziej spotęgowały to zjawisko. — Jesteśmy świadkami wielkich wysiłków zmierzających do racjonalizacji procesów wytwórczych i przejścia, w okresie wojennym, do najwyższego stopnia samowystarczalności i pokrywania zapotrzebowań wyrobami chałupniczymi, przy równoczesnym wykorzystaniu warunków miejscowych, dla zaopatrzenia się we wszelkie niezbędne ku temu surowce.

Powrót podolskiej wsi do prastarej opończy, białego kaftana i zgrzebnej koszuli, jest najlepszym tego dowodem. Od najdrobniejszych szczegółów garderoby do kompletnych garniturów — wszystko to wyrabia się obecnie w domu, przy prymitywnym na pozór warsztacie tkackim.

Dobre warunki uprawy lnu i konopi na gruncie miejscowym, stwarzają ku temu najlepsze podłoża i odsłaniają wielką perspektywę rozwoju rodzimej wytwórczości. Jeśli ponadto dodamy hodowlę owiec, która dostarcza wełny dla wyrobu sukna, na opończe, czapki, pokrycia kożuszków itp. — to obraz samowystarczalności wsi podolskiej będzie kompletny.

Kto miał okazję oglądania dzisiejszej młodej Podolanki, w jej kompletnym, niedzielnym stroju, ten zrozumie, że już dzisiaj można „od stóp do głów" ubrać się w materiały produkcji miejscowej. — Jej śnieżnej białości komplet niedzielny, ozdobiony barwnymi wyszywankami o jasnych wzorach i czystych motywach podolskich, skomponowany w subtelnej skali barw i z wielkim poczuciem smaku artystycznego, o luźnych i miękkich draperiach, jako całość wywiera bardzo miłe wrażenie.



Powyżej w kole:

PRZY SZCZOTKACH

Surowe włókna po skończonym międleniu poddaje się tak zwanemu „czesaniu" na drucianych szczotkach, przez co włókna stają się cieńsze i bardziej wyrównane, przy tym usuwa się z włókien wszelkie choćby najdrobniejsze paździerze.



Fot.: B. Czubały — Tarnopol 4
Borek 1
Archiw. 1

MŁODA PODOLANKA PRZY MIĘDLICY

W słoneczne dni jesienne odbywa się międlenie lnu i konopi. Polega ono na ugniataniu drewnianym „mieczem" w międlicy, wyszuszonych mendli oddzielając w ten sposób włókna lnu i konopi od paździerzy. Z wesołej minki na twarzy można wnioskować, że jest to jej ulubione zajęcie.

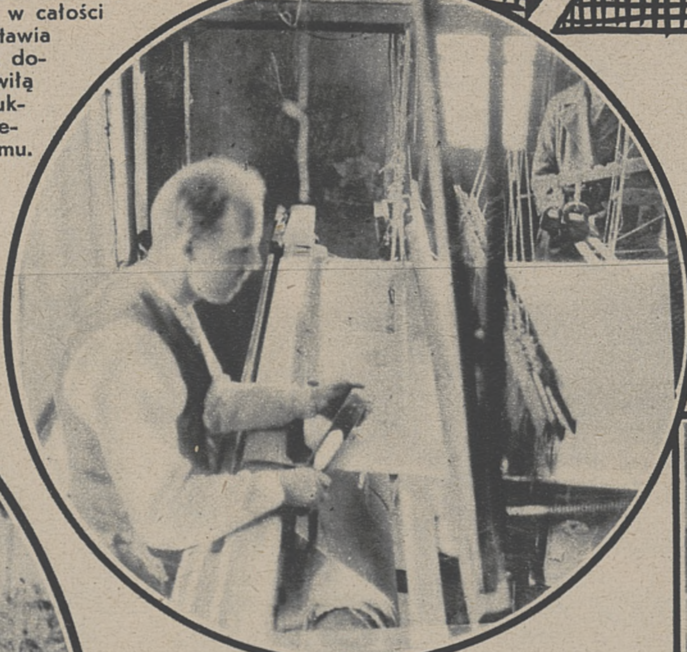
Na prawo:

PODOLANKI PRZY KĄDZIELI

Charakterystyczny obrazek z okolic Tarnopola, przedstawiający młode dziewczęta przy kądzieli. — Jedna z nich, ubrana w oryginalny komplet z samodziału, zwija nitki na kołowrotek, pozostałe zaś, na wrzeciona. Barwne stroje i wesoła atmosfera otoczenia potęgują żywość obrazu.

SAMODZIAŁY

Obok w kole:
PRZY WARSZTACIE TKACKIM
Obsługiwany przez jednego człowieka warsztat tkacki, w całości przedstawia jednak dosyć zawiłą konstrukcję mechanizmu.





Na prawo:
SUSZENIE KONOPIANYCH MENDLI
Rwane konopie i len składa się w mendle, a następnie po wymłóceniu i zmoczeniu w wodzie, suszy się je w słońcu, rozstawiając na przewiewnych miejscach.



Poniżej:
SAMODZIAŁY W MIEŚCIE
Nasza ilustracja przedstawia komplety z samodziału, wykonane w mieście. Modelka ubrana w raglanowy płaszcz z samodziału, lansowany na ostatniej wystawie samodziałów we Lwowie.



Nie mniej efektownym jest ubiór starszej kobiety i mężczyzn.

Sprawę wyrobu podolskich samodziałów nie należy traktować jako zjawisko sezonowe, spowodowane wojną, a raczej jako od wieków trwającą gałąź rodzimej wytwórczości, która w okresie ostatnich lat przedwojennych była traktowana po macoszemu, ustępując miejsca lichym wyrobom zagranicznej tandety.

Wyrób surowego płótna oraz uprawę lnu i konopi uważają chłopi podolscy, obok uprawy zbóż, za swoje tradycyjne zajęcie, a kądziel i wrzeciono stały się dzisiaj niezbędnym sprzętem w izbie. Najwyraźniej daje się to zauważyć późną jesienią, po ukończeniu wszelkich robót w polu, kiedy zbiory są już w stodole, wówczas codzienne zajęcie nieomal każdej rodziny nierozerwalnie wiąże się z wyrobem płótna.

Obrazek przedstawiający, kilkunastomorgowego gospodarza przy kądzieli, w jesienny lub zimowy wieczór — nie należy tutaj do rzadkości. Wprawdzie nie wije on delikatnej przędzy lecz grubszą i gorszą, z której wyrabia się worki.

Gatunkowo bardzo dobry materiał samodziałów, podbił również szerokie rzesze mieszkańców miasta. Ileż pięknych kostiumów i kompletów, z grzebnego płótna można dzisiaj oglądać na zgrabnych figurach, najbardziej eleganckich pań w mieście. Wprawdzie sam materiał zostaje odpowiednio podporządkowany i dostosowany do najbardziej nowoczesnego krzyku mody sezonowych żurnali, jednak pochodzenie jego i fabrykacja pozostają nadal niezmiennymi.

We wszystkich jednak ewolucjach i odcieniach mody widać dążenie do celowości ubioru i dostosowania się do zmienionych warunków życia doby obecnej.

I dziś powraca ten stary i częściowo zapomniany kunszt wyrabiania podolskich samodziałów, między innymi jako potrzeba, niosąc ze sobą prócz wszechstronnej popłatności, inne dodatnie strony.

Powrót ten potęguje odrębność regionalną podolskiej wsi, która ulegając piętnu modernizacji, zacierała swoje dawne charakterystyczne cechy.

Zdjęto dziś ze strychu stary, zakurzony, warsztat tkacki — wyciosany ręką pradziadów — zrobiono nową międlicę i kądziel.

Prof. Pilawski — Tarnopol



POCHODNIE ZWABIAJĄ RYBY...



PEŁEN CZARU I EMOCJI NOCNY POŁÓW

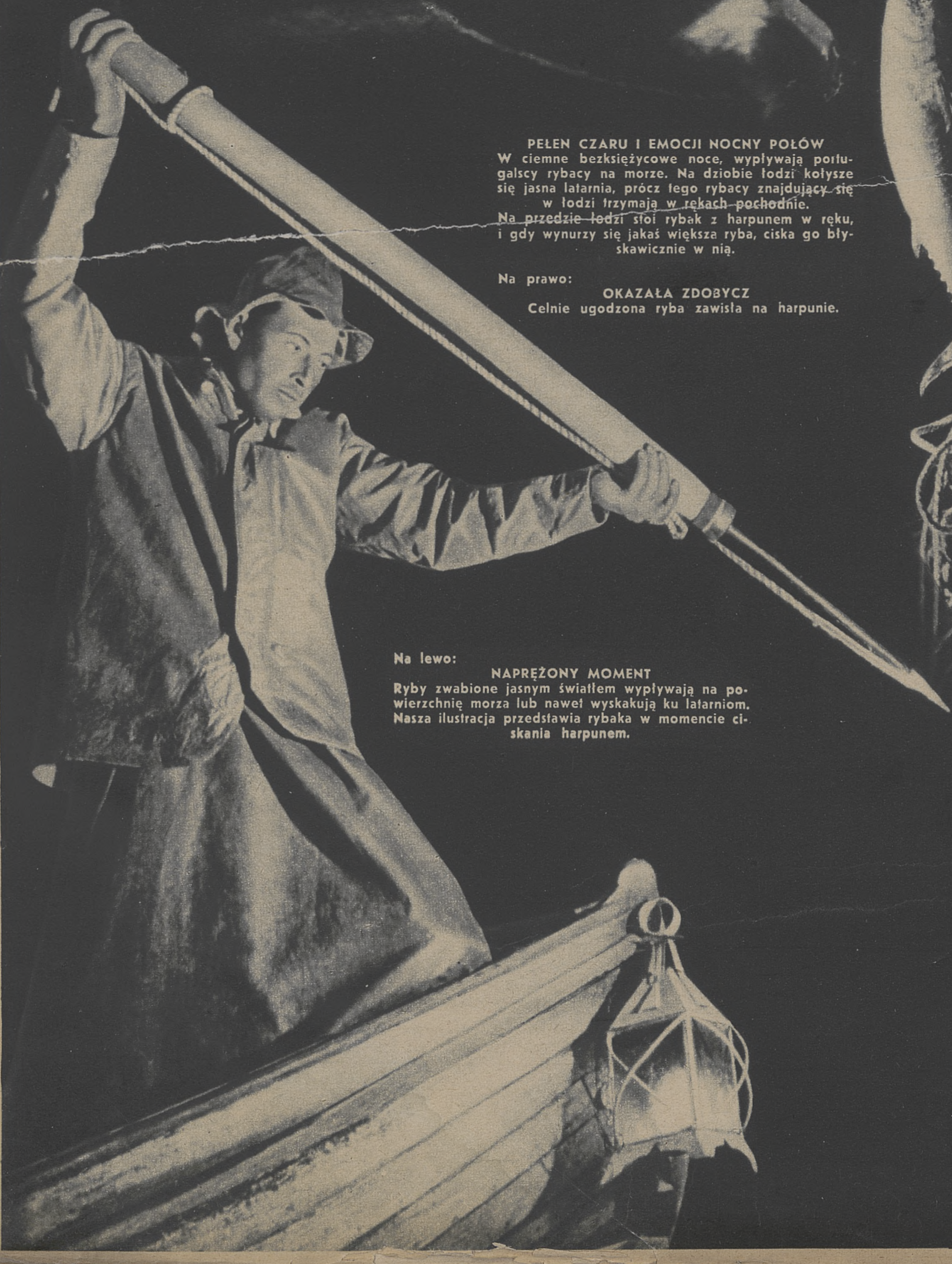
W ciemne bezksiężycowe noce, wypływają portugalscy rybacy na morze. Na dziobie łodzi kołysze się jasna latarnia, prócz tego rybacy znajdujący się w łodzi trzymają w rękach pochodnie. Na przedzie łodzi stoi rybak z harpunem w ręku, i gdy wynurzy się jakaś większa ryba, ciska go błyskawicznie w nią.

Na prawo:

OKAZAŁA ZDOBYCZ

Celnie ugodzona ryba zawisła na harpunie.





Na lewo:

NAPRĘŻONY MOMENT

Ryby zwabione jasnym światłem wypływają na powierzchnię morza lub nawet wyskakują ku latarniom. Nasza ilustracja przedstawia rybaka w momencie ciskania harpunem.

Mówiono swego czasu dużo o „polowaniu na ryby", polegającym na tym, że „myśliwy" zaczajał się nad brzegiem rzeki czy też na morzu, z karabinem i czekał aż wypłynie piękniejszy okaz ryby, by go zabić celnym strzałem.

Równie oryginalnym sposobem łowienia ryb mogą poszczycić się rybacy portugalscy, którzy połowy swoje urządzają w nocy. Wyjeżdżają oni na pełne morze, zapalają na przedzie łodzi pochodnię i czekają aż ryby znęcone światłem poczną ukazywać się na powiezchni. Rybacy ci nie łowią jednak ryb sieciami, lecz wbijają w nie harpun i wyciągają je na brzeg. Amatorzy tego dziwnego sportu twierdzą, że takie łowienie ryb jest daleko łatwiejsze i bardziej ekonomiczne od normalnego połowu, uskutecznianego przy pomocy sieci. Gdy nadciąga burza lub zagraża jakieś inne niebezpieczeństwo, wtedy udaje się jeden z rybaków na wysoką skałę, i ostrzega innych rybaków zapalając smolne pochodnie.

Jakby nie było, są nocne łowy portugalskich rybaków pełne tajemniczości i czaru, co może przekonać niejednego romantyka, który mniej myśli o realnej korzyści wyprawy nocnej. jak o przeżyciach, które go czekają.

Fot.: Weltbild 3

WZBRONIONE MACIERZYŃSTWO

OPOWIADANIE — NAPISAŁA M. A. HESSEL

Wójt Sikora był najbogatszym gospodarzem w całej gromadzie. Ale rej wodził wśród okolicznych gospodarzy nie tylko dla swych bogactw i urzędowego stanowiska, ale i dlatego, że — jak sam dziedzic — co rok przyjmował na praktykę studenta rolnictwa.

Tego właśnie lata praktykował u wójtów niejaki Karol Proszowski, przystojny chłopak, wysoki i opalony, zawołany hodowca i rolnik. Był cichym ulubieńcem Sikorzyny, a głośnym wszystkich dziewuch, „pracowity jak diabli" — jak określał go Sikora, cały dzień od wczesnego świtu niestrudzenie na nogach. Wszystkiego doglądnął, wszędzie był, na wszystkim się znał, do wszystkiego garnął się z chęcią i zamiłowaniem. A i dlatego pewnie lubił go wójt, że student — na przyszły rok już inżynier — nigdy najmądrzejszego nie udawał, nigdy wiadomości swych i systemów nie narzucał, przeciwnie: wprost wójtowi mówił, że chce od niego wiele się nauczyć, a z jego doświadczenia i gospodarskich umiejętności wynieść pożytek na całe życie. Mądry chłopak zaskarbił sobie w ten sposób względy i sympatię gospodarza, a razem z nim „Atłaska", bronzowa jamniczka, nieodstępna jego towarzyszka.

Gdzie się uwijała, tam był Proszowski, toteż zawsze wiedziano, gdzie go szukać... Włóczyła się za nim po lasach, polach i gospodarstwie, a noce spędzała w zacisznym kącie stodoły, gdzie pan własnoręcznie wymościł jej wygodne gniazdo z liści i siana. Wymościł zaś tym bardziej, że Atłaska spodziewała się zostać matką.

Jakoż od kilku dni jamniczka mniej goniła za swym panem, a więcej wylegiwała się pod krzakami lub w cieniach budynków. A jeżeli chodziła nawet, to jej ociężały teraz i chwilowo pozbawiony swej prześlicznej smukłości tułów, wlókł się leniwie, godnie i majestatycznie. Przysiadała też niedaleko przy gospodarstwie wśród ludzi, którzy — wszyscy bez wyjątku — lubili ją. Bawił suczkę i zajmował widok podwórza. Denerwowała ją tylko olbrzymia rasowa kura w puszystych rozczapierzonych portkach, szwendająca się po gospodarskim obejściu z nastroszonymi piórami i rozgłośnym, męcząco uprzykrzonym kwoczeniem. Pora lęgów dawno minęła, dwie inne kury tej samej rasy (Sikora posiadał tylko trzy takie okazy) znosiły wspaniałe, bo siedmiodekowe jaja co dzień, a ta jedna absorbowała sobą wszystkich i wszystko. Nie chciała jeść ni spać, awanturowała się, spychała kury z kojców, rzucała się na inne raniąc je i krwawiąc, przeganiała. Diabeł w nią wstąpił! Coś przewróciło się do góry nogami w organiźmie i sercu ptaka, domagając się całą mocą, ze wszystkich sił — macierzyństwa.

Nieszczęśliwa kokosz stała się wreszcie klęską ludzi i zwierząt. Omijano ją z daleka jak zarazę, a drób, gdy ukazywała się, pierzchał w rozsypce. Próżno stosowała Sikorzyna starą jak świat, drakońską metodę, moczenia ptaka w zimnej wodzie (zresztą był to trud nie tylko daremny, ale i niebezpieczny, bo kwoka dziobem rozdzierała jej ręce do krwi); próżno student wyczerpał wszystką w tym względzie wiedzę nabytą na uniwersytecie: olbrzymia kura kwoczyła i kwoczyła, nie dając ludziom chwili wytchnienia, wreszcie poczęła chorować i marnieć.

Zależało na niej bardzo gospodarzom. „Zrujnowawszy" się na wysokorasowe trzy kury i jednego koguta (zaczepny rycerz więziony był często za wysoką siatką) i sprowadziwszy je kosztem wielu starań, trudów i pieniędzy, chcieli mieć teraz z tych fenomenalnych niosek odpowiednią korzyść. A oto cenne dni upływały jeden za drugim, a kwoka zamiast znosić swoje siedmiodekowe jaja zawzięła się kwoczyć, a szał macierzyństwa owładnął nią do tego stopnia, że po prostu stała się niebezpieczna dla drobiu i pomniejszych zwierząt domowych, przede wszystkim zaś dla domowego porządku.

Atłaska, jako pies rozsądny, schodziła z oczu wielkiej kurze. Łagodna i przylepna jamniczka do kotów tylko czuła animozję. Poza tym nie lubiła awantur, chyba, że gdzieś w lesie natknęła się nosem na lisią jamę.

Gdy Proszowski wrócił wieczorem nie zastał suczki ani przed domem, ani w sieni, nie było jej w kuchni, ani w jego pokoju. Nie zjawiła się również na gwizdek pana i nawoływania po imieniu. Pan Karol wobec tego bez dłuższego namysłu pospieszył do stodoły i rzeczywiście zastał tam swoją Atłaskę, ale nie samą: otulała sobą trzy bronzowe szczeniątka. Serdecznie kiwnęła ogonem do swego pana, ale nie wstała na jego powitanie. Student popieścił ulubioną psinę, pogłaskał, uspokoił, przyniósł osłabionej i zmęczonej mateczce białego chleba i mleko na spodeczku. Ale musiał ją nakarmić z ręki, gdyż sama jeść nie chciała.

Przez pierwsze trzy dni musiał tak karmić ją, gdyż nie oddaliła się od swych dzieci ani na krok. Na czwarty dzień dopiero z rana, nakarmiwszy i uśpiwszy szczenięta, wyskoczyła na pole rozprostować kości i załatwić pewne bardzo, bardzo już pilne sprawy.

W tym samym czasie zaplątała się w pobliże stodoły kwocząca kura. Licho poniosło ją do środka. Tocząc szeroko skrzydłami, gdacząc i wszędzie dopatrując się gniazda, znalazła się niespodzianie przy legowisku Atłaski. Ujrzawszy trzy maluchne, poruszające się istotki, aż oczy wytrzeszczyła i skamieniała na chwilę. Ale już w następnej chwili siedziała na szczeniętach, zagarniając je pod siebie ogromnymi łapskami. Rozsnuła skrzydła szeroko, rozsiadła się na śmierć i życie, upojona, szczęśliwa, uleczona w mgnieniu oka, mrużąc oczy i wciąż zmieniając pozycję, w miarę jak psięta ruszały się i wymykały spod niej, piszcząc, przerażone, gdyż czuły coś obcego. Więc wyłaziły spod niej i pełzały. Cierpliwie i niezmordowanie zagarniała je pod siebie, a jedno, bardziej niespokojne, usiłując koniecznie wepchnąć nogami pod siebie, zadrapała boleśnie, więc piszczało głośno.

Usłyszała ten pisk wracająca do dzieci Atłaska. Leciuchno skoczyła w kąt — aż tu wściekle zaszumiały skrzydła i groźny wrzask kury rozdarł uszy jamniczki. Cofnęła się gwałtownie w tył, nieprzygotowana na taką napaść, jak również na obecność jakiegoś intruza w gnieździe.

Lecz zaraz ochłonęła i porwał ją straszny gniew, połączony z śmiertelną trwogą o dzieci. Znienawidzony ptak ośmielił się najść na jej dom, krzywdzić jej dzieci i w dodatku usiłował jej, matce, uniemożliwić powrót do nich! Szczekając groźnie i kłapiąc pyskiem, rzuciła się z pasją na kurę, chcąc wypłoszyć ją precz zębami i krzykiem.

A kwokę porwał po prostu obłęd: oczy wyszły jej na wierzch, grzebień napłynął purpurą, z szumem waliła skrzydłami o legowisko i podskakiwała suce do oczu, dziobała po pysku, a darła się tak przeraźliwie, że poczęła się dławić i dusić własnym wysiłkiem.

Zraniona, doprowadzona do rozpaczy i niewypowiedzianego gniewu Atłaska jazgotała zajadle. Wyła, szczekała, warczała, skamlała, charczała, doskakując ze wszystkich stron do kwoki. Dostała dziobem prawie w sam nos, ale za to uchwyciła kurę za szyję i pierze zawirowało w powietrzu.

Wściekłe miotanie się obojga zwierząt i zlane w chaos ich odgłosy, zwabiły wreszcie ludzi. Atłaska na ich widok, a również i dlatego, że posłyszała żałosny pisk deptanych przez rozsierdzoną kokosz szczeniąt, wzmocniła atak. Nieopisany harmider zapanował w stodole. Wreszcie wpadł jak bomba Proszowski, wezwany co duchu przez chłopca.

Czerwony z wściekłości, jakby go lada chwila miała trafić apopleksja, skoczył ku kwoce, porwał za skrzydła, wyniósł wrzeszczącą na podworzec i rzucił z nienawiścią za siatkę. Najsurowiej zakazał służbie wypuszczać ją stamtąd i pospieszył do Atłaski. Przerażone i głodne pieski garnęły się do matki, a ona lizała je szybko i niespokojnie, drżąc na całym ciele i nie mogąc przyjść do siebie. Proszowski uspokajał ją pieszczotą i słowami, a gdy wreszcie wyszedł, własnoręcznie zamknął małe drzwiczki w bramie stodoły.

Kwoka za siatką awanturowała się do późnego wieczora. Jęczała i narzekała długo, a tak boleśnie, że student uczuł litość. Gdyby to zależało wyłącznie od niego posadziłby kurę na jajach i byłby spokój.

Ale gdy nazajutrz, w niedzielę, wyrwało go ze snu przeraźliwe ujadanie Atłaski i zaciekły wrzask kwoki, bijące zgodnie w niebo z wnętrza stodoły, litość uciekła z serca pana Karola, a wypełniła je czarna złość. Porwał szlafrok i wypadł jak z procy. Wyrzucił kurę za skrzydła, ale obie ręce miał splamione krwią; sklął potem stajennego, fornali, pastucha, dziewki, że zostawili drzwi do stodoły otwarte i w duchu poprzysiągł zgubę nieszczęsnej kwoce, jeżeli raz jeszcze podepta szczenięta i zrani Atłaskę.

Kwoka nie była świadoma tych ślubowań, albo może matkowanie psom było jej milsze niż życie, bo w trzy dni później wybuchnęła znowu rozpaczliwa kłótnia między wracającą do szczeniąt suką, a siedzącą na szczeniętach kurą.

Proszowski na szczęście był w pobliżu. Wywlókł za łeb i za skrzydła znienawidzone ptaszysko, ale Atłaska dostała niebezpieczny cios niemal w samo oko. Zaogniło się, nabrzmiało żyłkami, zmętniało, powieki i skóra dokoła spuchły mocno. Zacięty i blady student obmywał jej oko wodą borową, nałożył jakąś maść, przeniósł całe legowisko do małej drewutni, zostawił Atłasce miseczkę pełną świeżej wody i odszedł, zamknąwszy drewutnię.

Przez podwórze przewijał się ktoś od czasu do czasu, każdy miał ręce pełne wieczornej roboty. Proszowskiego zdziwiła cisza panująca na podwórzu. Kwoka uspokoiła się. Zresztą od czasu jak usiłowała bez powodzenia i bez najmniejszych po temu kwalifikacyj, wyręczać Atłaskę w jej obowiązkach macierzyńskich, uspokoiła się znacznie tak, że już zamykano ją na noc z wszystkim drobiem, jak poprzednio.

Mały pastuszek od gęsi zaganiał właśnie drób do kurnika. Rasowe kury weszły na końcu, kwocząca ostatnia. Chłopiec odszedł, a Proszowski już, już zabierał się do zamykania kurnika, co często robił osobiście, gdy białopióry kłąb ukazał się nagle z powrotem w okienku kurnika. I nagle złość jak fala napłynęła do piersi studenta, oczy zaświeciły mu mściwie. Schylił się i...

Nazajutrz skoro świt zegnał go z pościeli rozpaczliwy lament Sikorzyny: tchórz albo kuna udusiły w nocy jedną z trzech rasowych kur, zdrową, będącą w trakcie seryjnego niesienia siedmiodekowych jaj!

Proszowskiemu zrobiło się gorąco, a potem zimno. Pot obfity w jednej chwili pokrył mu całą twarz. Drżącymi rękoma przeciągnął po oczach, ale szybko opanował się. Przepadło!

Oko Atłaski było wciąż jeszcze zaognione i czerwone, choć spuchnięcie powiek zwolna ustępowało, gdy — w jakieś dwa dni później przypadła w polu do Proszowskiego dziewucha kuchenna, wrzeszcząc już z daleka, że w drewutni nastał sądny dzień. Gospodarzy nie ma, wszyscy w polu, a kwoka i suka obijają się po drewutni, jak złe duchy po piekle...

Student pognał, jak wiatr. Z daleka już doleciały go odgłosy walki. W ciasnej drewutni dwa ciała obijały się ciężko. Suka skamlała i wyła. Grzbiet, boki, pysk miała w wielu miejscach rozdarte i ociekające krwią. Cudem jakimś ocaliła jeszcze oczy, ale długie uszy jamniczki przedstawiały jedną skołtunioną i skrwawioną masę.

Kwoka walczyła jak sęp. Biła skrzydłami, waliła dziobem na ślepo, orała pazurami, podskakiwała wysoko w górę; niepodobna było dojść do niej.

Nieprzytomny ze złości student zwinął pięść i gruchnął z obłędną pasją między rozwinięte skrzydła. Kura wrzasnęła okropnie, przeciągle tylko raz i ucichła, przewracając oczami i szeroko otwierając dziób.

Proszowski oprzytomniał. Objął skronie rękami. Zamknął oczy. Atłaska ucichła też i przystanęła tuż, węsząc niespokojnie. Nie mogła się zorientować co zaszło. Poczęła łasić się do kolan swojemu panu. Otworzył oczy. Kura męczyła się dysząc, skrzecząc cicho zdruzgotanymi płucami, z trudem chwytając powietrze w szeroko rozwierający się dziób.

Młody chłopak uczuł nagle ogromną litość i bezmierny żal do samego siebie. Postanowił skrócić mękę nieszczęśliwego stworzenia. Wyniósł kurę za stodołę i własnym scyzorykiem przeciął rwącą się nić jej życia. Gdy martwy śnieżno-biały ptak legł nieruchomo u jego stóp, brocząc obficie zczerniałą krwią, Proszowskiemu zrobiło się lżej. Uniósł z ziemi zabitą kurę i zaniósł do kuchni, kazał dziewczynie natychmiast oprawić ją i ugotować.

Gdy zdumiona i przerażona wójtowa wpadła wieczorem jak okrągły pocisk do jego izby, pytając co to wszystko znaczy, student odetchnął głęboko, sapnął i rzekł:

— Pani Sikorowa, proszę się nie gniewać! Daję słowo honoru, że dostanie pani dwie nowe kury jeszcze w tym miesiącu! Bo tę pierwszą ja też udusiłem — wyrecytował zwolna. — Myślałem, że to ta przeklęta kwoka, bo ostatnia weszła. Niech pani obejrzy moją Atłaskę, co się z nią dzieje! Chciałem właśnie pani powiedzieć, że dziś jeszcze wezmę ją do siebie tutaj, razem ze szczeniętami! Proszę mi nie wypłacać wynagrodzenia, rezygnuję! Za szkody, jakie poczyniłem! A kury będą na pewno! Choćbym miał sprzedać ostatnie ubranie!

Sikorzyna próbowała jeszcze lamentować i żałować, ale ostatnie słowa studenta słyszał wójt, który za żoną, zdziwiony jak i ona, podążył do pokoju praktykanta. Zbliżył się więc do niego i kiwnąwszy ręką z rezygnacją ujął studenta pod ramię:

— Chodź pan, panie Proszowski, zapijemy pod tę kurę! Pan stawiasz z niej kolację, jak słyszałem?! Ano, co się stało, to się i nieodstanie! Nie sprzedawaj pan ostatniego ubrania i nie ma o czym długo gadać! Ot, zdarzyło się! Nie wydziwiaj, Maryś — zwrócił się do żony — lepiej idź i przyszykuj nam coś do jedzenia! Grunt, to brzuch, a rosół z kury rzecz nienajgorsza, prawda, panie Proszowski?

I otoczywszy kordialnie ramieniem „swego" praktykanta, wywiódł go do głównej izby.

NOMEN — OMEN

KŁOPOTY PROSPERA NIKOGO

Imiona mają swoją wymowę. I pewien magnes tajemniczy, którym zmuszają los, by ci, którzy je noszą, byli takimi właśnie, jakie znaczenie ma dane imię. Taki Wiktor na przykład: z łacińskiego „zwycięzca". Niech raz zakręci panną w tańcu, a tańczy prawie zawsze cudownie, niech spojrzy na nią tym swoim nieco zmrużonym, szyderczym spojrzeniem — ona od razu podnosi ręce na znak, że się chce... że chce mu je zarzucić na szyję. W biegach będzie pierwszym, choćby kulał na jedną nogę, na egzaminie otrzyma akurat pytanie, które sobie najlepiej przygotował, w ogóle nie ma dla niego przeszkód, bo najwyższe albo przeskoczy — albo... obejdzie.

Albo Hilary. Wesoły chłopiec, z dołkiem w prawym policzku i chochlikami w oczach. Na pogrzebie zamiast płakać musi się śmiać, — bo idąc za trumną, zobaczy nagle, że karawaniarz wlecze za sobą jakieś frendzle, których przy tej okazji zawsze pełno. Hilary patrzy w dół, oczy ma łez pełne, i naraz te frendzle... czy to nie los? Teściowa zachorowała — powód do radości nawet dla największego mizantropa, a cóż dopiero dla Hilarego! Życie prześmieje, a nawet w trumnie będzie jeszcze chichotał z tych, co po nim płaczą.

A Innocenty? Młodzian tak niewinny i skromny, że kąpie się z zamkniętymi oczami, żeby na siebie nie patrzeć? A Konstanty, mąż stały, który jak sobie siądzie przy kieliszku, to potem leży, żeby być w stanie jeszcze bardziej stałym?

Co tu dłużej dowodzić! Przytoczone przykłady wystarczają na potwierdzenie reguły, że „nomen est omen". Jest jednak rzeczą również udowodnioną, że w każdej regule znajdujemy wyjątki. To znaczy — zamiast wesołego Hilarego znajdzie się i Hilary lejący łzy, Innocenty może być doskonałym zastępcą bachantek, imię wróżące szczęście może sprawić jego właścicielowi wiele kłopotu, itd... itd...

Takim wyjątkiem z naszej reguły był właśnie Prosper Nikt, który choć imię miał wielce obiecujące, jednak pod względem nazwiska był po prostu nikim.

Toteż nikt nie był nigdy tak nieszczęśliwy jak Prosper Nikt, człowiek o rokującym pomyślność imieniu (o czym się przekonamy) i wykreślającym go z życia nazwisku.

Kłopoty Prospera Nikogo — tak się przecież odmienia — zaczęły się od chwili, gdy przestąpił progi gimnazjum. Do tego momentu nie byłby i tak nikim, nawet gdyby się nazywał Globusziemski.

A zaczęły się te kłopoty tak:

Nauczyciel, trochę krótkowidz, pyta go podobnie jak i innych:

— Kto cię rodzi?

— Nikt — odpowiada Prosper Nikt.

— Jak to nikt? — dziwi się profesor — więc skądeś się wziął na tej ziemi? Przecież musisz mieć ojca, do licha! Masz ojca?

— Mam.

— Jak się nazywa?

— Atanazy Nikt.

— Aha, więc ty jesteś naprawdę nikim.

Odtąd zaczęły się dla Prospera Nikta nieporozumienia, które nieraz dały się mu dobrze we znaki.

Profesor sprawdza na przykład obecność uczniów. Nie chcąc tracić dużo czasu, nie wyczytuje nazwisk, tylko pyta klasę:

— Czy jest kto nieobecny?

— Nikt — odzywa się klasa chórem, a profesor zapisuje, że nieobecny tego dnia jest Prosper Nikt, który siedzi w ławce kamieniem, lecz wobec pięćdziesięciu pięści wyciągniętych w górę i obiecujących mu dobre lanie, gdyby się odważył zaoponować, nie śmie pisnąć słowa. Kiedy indziej powtarza się podobne pytanie:

— Kto jest nieobecny? — bada profesor.

— Nikt — panie profesorze — dusi się klasa ze śmiechu, bo wie, czym to pachnie.

A pan profesor zapisuje, że wszyscy są obecni, mimo że Prosper Nikt dziś gorączkuje i leży w łóżku.

Pod koniec roku szkolnego, wypadło przy zliczaniu absencji, że nikt nie opuścił tylu godzin, co Prosper Nikt.

Z tą nieobecnością było jeszcze pół biedy. Niechno jednak w klasie wyleciała jedna i druga szybka, niech który z kolegów pociął ławkę scyzorykiem albo puścił chrabąszcze na klasę, na pytanie „kto to zrobił?" padała zawsze solidarna odpowiedź „nikt". No i Nikt płacił i pokutował. Płacili właściwie koledzy, którzy po długich nawoływaniach „panowie, hołota, 30 groszy na szybkę", zbierali wreszcie potrzebną sumę. Żartów swych nie posuwali bowiem aż do głębokości Prosperowego portfelu. Biedny Nikt tracił jednak w powodzi tych konfliktów ochotę do życia, i może byłby położył mu kres, gdyby nie odstraszała go myśl, że i na drugim świecie będzie po prostu nikim.

Poszedł więc na uniwersytet. I o dziwo! Jakoś się los dla niego odwrócił, choć się z początku ze spełnieniem wróżby odnoszącej się do imienia „Prosper" jeszcze trochę ociągał.

Razu pewnego wybrała się paczka koleżanek i kolegów na wycieczkę za miasto. Oczywiście, każdy z młodzieńców wybrał sobie swoją damę serca i czułe szeptał jej słówka. Pozostała tylko jedna para, która nie była parą. Prosper Nikt, nie ufający losowi i miła panna Alma, która z powodu nieśmiałości Prospera musiała się przyczepić do swojej koleżanki. W trakcie rozmowy usłyszano naraz jak panna Alma rzuciła w powietrze ważkie w następstwa, w tej chwili jednak tylko żartem wypowiedziane słowa:

— Ach, mnie nikt i tak nie zechce, nikt mnie za żonę nie weźmie!

— Słyszałeś Nikt? Alma mówi, że ty jej nie chcesz, prawda to?

Nie pozwolili mu zresztą koledzy dojść do słowa, lecz opadli jak osy:

— A czyście sobie już wyznali miłość? Mów! Czego się tak rumienisz? Gadaj, prawda to, że jej nie chcesz? Chce, chce i jak jeszcze! Przecież widać to po nim!

Nie wiedząc właściwie jak się to stało, ożenił się Prosper Nikt z rezolutną Almą, która albo cieszyła się fawórem losu albo też śmiała mu się w nos, dość, że ten igrający sobie ze wszystkich mocarz, nie zaczepiał jej, a przy niej przestał drwić również i z Prospera, którego szczęście zaczęło odtąd wspaniale prosperować.

sza

»CZTERY GODZINY — CZTERY KOBIETY«

NAPISAŁA JADWIGA WIERZBICKA

„GODZINA PORANNA"

Niebo jest bladocytrynowe. Klara ma włosy jasne i cienkie jak pajęczyna. Kiedy otwiera oczy zawsze to samo zdumienie, błękitny brzask w płowych, sypkich rzęsach. Zarzuca mi ręce na szyję i pyta się, czy jeszcze jest kochana, i jak, i czy długo jeszcze. Pachnie miodem i zwykłym mydłem. Jest olśniewająca. Właściwie jest brzydka. Wyskakuje z łóżka i depcze różowymi bezbronnymi stopami zimną, oschłą podłogę. Biegnie do okna. Za chwilę ujrzę na tle cytrynowego nieba głowę w splątanych popielatych pasmach. Pytam jak zwykle:

— Czy nie jest ci zimno?

Ona odpowiada jak zwykle:

— Kocham cię!

Niedobrze jest wnikać w rzeczy, których niesposób zrozumieć. Mówię jej, że jestem głodny. Ona odpowiada:

— Nasycę cię!

Widzę różowawe ruchliwe wargi, czuję słodycz porannego pocałunku, powiew chłodnego wietrzyka, prąd leniwej radości rozlewa się po żyłach. Ogarnia mnie tęsknota na myśl, że w sąsiednim mieszkaniu aromatyczna kawa paruje z pełnych filiżanek. Zrywam się, szorstki i zwycięski, strząsając resztki snu. Teraz ja z kolei stąpam bosymi stopami po zimnych, wrogich deskach. Podłoga nieprzychylna, skrzypiąca i stara, połupana w najdziksze wzory, patrząca tysiącem szpar, ba, może nawet źle umyta; woda szaroniebieska szczypiąca, złośliwa i lodowata; stołek chwiejny, niepewny, słaby, niezdecydowany; krawat śliski i nonszalancki; Klary spojrzenie ukośne, szyja Klary bielejąca oślepiająco w czystym rannym powietrzu...

— Czy kochasz mnie?

— Jeśli jeszcze raz to usłyszę, zabiję! — oświadczam głosem tnącym jak nóż. Potem całuję ją w przelocie, z nieukrywanym roztargnieniem i wychodzę trzaskając drzwiami.

„GODZINA POŁUDNIA"

Niebo białe jak papier i rozpalone. Ludzkie cienie pływają jakby w śmietankowym sosie. Pomarańczowo-czerwony tramwaj napęczniały, nadęty, obrzmiały, spuchnięty do niemożliwości sapie, zgrzyta i oblewa się potem z wysiłku. Siedzę na gorącej ławce, rozparzony, stumaniony, unieruchomiony, jak w chloroformie. Na przeciw stoi Ona. Chcę jej ustąpić miejsca, ale nie mogę się poruszyć. Każdy mój członek jest w stanie spoczynku, a brak mi siły, by wprawić go w ruch. Patrzę bezczelnie na dumną bladą twarz w hełmie miedzianorudych włosów. Na czole i nosie boskiej Nieznajomej widzę krocie błyszczących perełkowatych kropeleczek potu. Spękane usta krwawią źle rozsmarowaną pomadką. Cała twarz o rysach ostrych, ciętych, ocieka znużeniem i apatią. Swym uporczywym wzrokiem wbijam w nią tysiące niewidzialnych szpileczek. Potrząsnęła włosami, między brwiami ukazała się malutka zmarszczka, jakby narysowana igiełką, a teraz całe ciało poruszyło się niecierpliwie i gniewnie pod esowatą suknią. Na szyi ma sznurek białych korali i widzę wyraźnie jak wzbiera i płynie ku górze pod cienką jak bibułka skórą, gęsty, leniwy rumieniec...

Już wiem to, co chciałem wiedzieć. Nazywa się Izabella...

„GODZINA POPOŁUDNIOWA"

— Czy można pani towarzyszyć?

Mówię — bez końca. Trzeba zabić tę niena niechęć czającą się na koniuszkach es. Trzeba wyrysować niewidzialnym dzłem na płycie Jej wyobraźni sylwetkę egancką, niezwykłą, której romantyzm prawiedliwia banalność ekscesu. Ach, ięc nazywa się Ludwika. To wystarczy. st damą, a strusie pióro u toczka przyomina pogodnym błękitem to właśnie popołudniowe niebo. Oczy orzechowe i orzenowe posypane złotym pyłem włosy. I błętna woalka na twarzy...

— Czyż to nie jest zabawne, prześliczna ani Ludwiko?

— Nie jestem Ludwiką! Pan się myli!

Więc jednak. Lodowaty grymas znikł oto uśmiech czarujący ukarminowanych steczek pod obłokiem błękitnego tiulu. Jest agodna, ale dowcipna. Spokojna, ale wepła. I tak uroczo, tak niewymownie urozo sączy przez podługowatą słomkę gorzki nazagran.

— Kiedy cię znowu spotkam Ludwiko, hciałbym abyś i wtedy nosiła ten niewykły, fantastyczny kapelusik i to niewykłe fantastyczne spojrzenie zgubione v cieniu rzęs...

„GODZINA WIECZORNA"

Każdy krok odbija się w sercu. Czy jest roś smutniejszego i bardziej samotnego niż pusta ulica. Mętne światło latarni czyni powietrze gęstszym i bardziej liliowym. Na szarych płytach chodnika klip... kłap... klip... klap... opalonych dziewczęcych nóżek.

— Czy zobaczę cię jutro?

Ona tego nie wie. Ona podnosi ku mnie błyszczące spojrzenie podłużnych palących oczu. Od rzęs do rzęs — oczy są nalane światłem i wydają się białawe i pełne zadumy.

— Czy pozwolisz się pocałować?

Odpowiada — nie — bez śladu zmieszania i pychy. Nie upokarza, nie odtrąca, tylko broni się proszącym, dziecinnym tonem głosu. Więc jeszcze parę klip... klap... po szarych płytach chodnika...

— Muszę cię pożegnać... (najdroższy!)

— Czy zobaczę cię jutro?... (najdroższa!)

Ona tego nie wie. Ona opuszcza wachlarzyki rzęs i skręca lekko głowę bym nie mógł widzieć pełnych, dojrzałych kropel zasłaniających czystość spojrzenia. Zatrzymujemy się na ciemno-liliowym chodniku bezradni, miotani niewytłomaczonym smutkiem, melancholią, niepewnością. Podaje mi obie małe rączki, rączki dziecka, podaje mi usta dziecka z tą gotowością, od której serce się kraje.

Teraz już wiem, że ona nie ma imienia. Teraz już wiem, że żadne niebo nie jest podobne do nieba jej oczu. I teraz już wiem, że trzeba odejść, i pozostawić ją samą, płaczącą, na skraju liliowego chodnika...



M. Mirska (Dulska) i M. Malicka (Hanka) w komedii Zapolskiej „Moralność Pani Dulskiej".

ZE SCEN i ESTRAD

KOMEDIA: „MORALNOŚĆ PANI DULSKIEJ"

Warszawski teatr „Komedia" dał na otwarcie sezonu komedię Zapolskiej „Moralność Pani Dulskiej". Jest ona sztuką z rzędu tych, które zawsze i wszędzie będą aktualne i zrozumiałe. Nic dziwnego, wszak panie Dulskie żyją tak samo dziś jak żyły wczoraj, i nie trudno je spotkać. Nie mówią już wprawdzie szkandal — ale tak samo jak Dulska Zapolskiej boją się tego skandalu. Niech się dzieją świństwa w domu, u siebie, ale broń Boże niech się obcy o tym nie dowiedzą. Matka patrzy przez cały czas przez palce na bałamucenie przez syna służącej, ale gdy Hanka spodziewa się dziecka a Zbyszek chce ją zaślubić, wtedy pani Dulska podnosi lament: jak to, syn kamieniczników ma być ożeniony ze służącą?! Taki mezalians! Taki szkandal! Do tego za wszelką cenę dopuścić nie można. I wtedy ta sknera, która mężowi wydziela cygara, — decyduje się dać służącej wysokie odszkodowanie byle tylko opuściła dom Dulskich i nie została żoną Zbyszka. Najważniejsze to, że moralności stało się zadość.

Zapolska posiadająca ogromny dar widzenia ludzi takimi, jakimi są mimo masek i obłudy, pokazała nam w „Moralności" typy w całej pełni rzeczywistości.

Maria Mirska — jako postać tytułowa — głęboko wczuła się w moralność i zasady kołtuńskie Dulskiej, unikając przy tym niebezpiecznej dla tej roli szarży dążącej ku grotesce. **Józef Węgrzyn** — w roli Felicjana — przemawiał do widza mimiką i każdym swoim ruchem opracowanym w najdrobniejszym szczególe. Pełna tragizmu postać służącej nie mogła znaleźć lepszej interpretacji niż ta, jaką dała **Maria Malicka**. Jej stopniowanie uczuć od niemej zazdrości do urażonej ambicji — to gra na najwyższym poziomie. **Andrzej Szalawski** — jako walczący sam z sobą bohater, załamujący się w końcu pod wpływem otoczenia, budzi w nas wiele sympatii dla postaci Zbyszka. Odpowiednio wyzyskana **Ewa Stojowska** pokazała jak kulturalną jest aktorką.

Pozostałe role dobrze postawiły: H. Libicka (Hesia), J. Porębska (lokatorka), J. Piaskowska (Juliasiewiczowa) i M. Dąbrowska (Tadrachowa).

Słowa prawdziwego uznania należą się R. Niewiarowiczowi za b. staranną reżyserię, A. Kobryniowi za udane dekoracje.

Fot.: „Van Dyck"

Z. Bakuła

FILHARMONIA GG.: I KONCERT SYMFONICZNY



Solistka I koncertu symfonicznego Filharmonii p. H. Sembratówna. Fot. Borek

Spełniająca z górą trzy lata, swoją piękną misję, Filharmonia Gen. Gubernatorstwa, której muzyka symfoniczna, szeroką falą wspaniałych koncertów, wpłynęła do Krakowa, stając się duchową karmą miłośników i muzyków z profesji, — obdarzyła publiczność krakowską nowym koncertem.

Dnia 6 października br. odbyła się inauguracja sezonu; koncertem poświęconym twórczości Ludwika v. Beethovena.

Odnośnie całości programu I koncertu, a w szczególności 8-mej symfonii, która się w nim znalazła — tematyczne inwencje autora są nam bliskie i bardziej zrozumiałe. Z symfonii 8-mej przebija wielka osobowość mistrza i jego reformatorski charakter, uspokojony krótkim okresem, z dala od zgiełku dziejowej burzy, kiedy wsłuchany jedynie w harmonię swej duszy, mógł być wolnym od pęt; skuwających go światem zewnętrznym.

Poprzez tematykę orkiestry, drgają spokojne, pogodne, a chwilami jakby zadumane tony skrzypiec. Motyw pogodny dominuje nad nastrojem całej 8-mej symfonii — podniosłej i natchnionej, zwięzłej przy tym niezmiernie silnie.

Mistrzowska ręka Beethovena stworzyła w niej obrazy pełne słońca i pogody, które podnoszą nas jakimś nabożnym skupieniem.

Liryczna natomiast, melodyjność instrumentalna, objętego programem koncertu fortepianowego G-dur, oraz jego głębia harmonii i wielka skala barwności dźwiękowej, trzymały nas w kojącym, uduchowionym zasłuchaniu.

Solistką tego uroczystego wieczoru była p. **Halina Sembratówna.**

Zazwyczaj, wielkiej miary solistów fortepianowych, zaszczycano partiami kompozycyj Beethovena, rozumiejąc, że duchowe wytężenia jego utworów są tak potężne i wielkie jak i techniczne wymagania od solistów.

Słuchając interpretacjii panny Sembratówny, nabieramy ugruntowanego przekonania, że fortepian, którego techniczne tajniki poznała doskonale, stał się częścią jej muzycznej natury.

Obrazy w jej interpretacji nabierają właściwości kolorystycznej, możliwie bogatej do pomyślenia przez samego autora. Stwierdzamy tym samym, że stać ją na rozwiązanie najśmielszych problemów techniki fortepianowej.

Przebijająca z postaci życiowa dynamika, już jakby sama, predystynuje ją do najznakomitszego odtworzenia wszelkich kompozycji fortepianowych, w których wyraz muzyczny posiada elementy dynamicznej potęgi muzycznej i stopniowań ekspresji.

W odegranych na bis walcach Brahmsa, jakby dla zadokumentowania naszych twierdzeń, wydobyła z klawiatury instrumentu najwyszukańsze efekty techniczne. Dlatego też publiczność obdarzyła ją naprawdę szczerymi oklaskami.

Uroczystość inauguracji sezonu Filharmonii, podkreślił swą osobą naczelny dyrygent p. **Rudolf Hindemith,** stając przy dyrygenckim pulpicie orkiestry.

Znając dokładnie wszystkie możności dźwiękowe tego skomplikowanego aparatu, dołożył starań, by koncert wypadł w myśl właściwej intencji autora, przez co zdobył słuszną sympatię publiczności, która w serdecznej podzięce, obdarzyła go niemilknącymi oklaskami.

Filharmonia stała się widomą przystanią, do której zawinęły najlepsze talenty muzyczne Gen. Gubernatorstwa, o czym świadczy doborowa publiczność, wypełniająca salę po brzegi na każdym ich koncercie.

Paliwoda-Mati[illegible]ski

Ilustrowany Kurier Polski — Krakau, Redakcja: ul. Pilsudskiego 19 tel. 213-93 — Wydawnictwo: Wielopole 1 tel. 135-60 — Pocztowe Konto Czekowe: Warschau Nr. 900

ROZWIĄZANIE IV-tego KONKURSU I.K.P.

Z wielką niecierpliwością i zaciekawieniem wyczekiwana chwila, ukazania się rozwiązania 1V-go konkursu, wreszcie nadeszła. Jak wielkim było zainteresowanie szerokich rzesz czytelników i sympatyków naszego pisma, świadczy wymownie ogromna ilość nadesłanych rozwiązań, przekraczająca 1400 listów, chociaż podane przez redakcję zastrzeżenie wymagało gruntownego uzasadnienia rozpoznanych typów, co niewątpliwie wielu powstrzymało od uczestniczenia w konkursie.

Ze względu na to, że tematem konkursu były wyłącznie reprezentantki płci pięknej wraz swoim skomplikowanym światem zainteresowań, nic więc dziwnego, że w konkursie wzięły udział; w przeważającym procencie, młode dziewczęta i kobiety.

O ile jednak chodzi o trafność rozwiązań, — niewątpliwe walne zwycięstwo przypada rodowi męskiemu, co dowodzi, że on równie dobrze zna się „na kobietach".

Że konkurs był trudny, potwierdza znikoma ilość zupełnie dobrych rozwiązań oraz częste pomyłki, popełniane przez uczestników. Zasadniczy i najczęściej powtarzający się błąd, to mylne utożsamianie Hiszpanki — nr. 1 — z rumuńską Cyganką — nr. 20. Identyfikowano również, oznaczoną nr. 3 — Włoszkę z Bułgarką nr. 23. Wiele kłopotu sprawiła konkursistom dziewczyna z Portugalii, oznaczona nr. 7. Brano ją za Egipcjankę, jużto za Włoszkę, niektórzy za Cygankę, inni za dziewczynę z Argentyny, a nawet (!) za... Polkę.

W przeogromnej ilości nadesłanych rozwiązań, zaledwie 6 (!!), było trafnych. Wiele rozwiązań, mimo, że nie trafnych, miało bardzo ładną, wierszowaną formę wykonania, dlatego też niektóre otrzymały nagrody pocieszenia. Tyle co do uwag, które nasunęły się Jury w trakcie rozpatrywania tej olbrzymiej ilości rozwiązań. A teraz samo rozwiązanie. Zamieszczone zdjęcia przedstawiały następujące typy dziewcząt:

Nr. 1 = Hiszpanka, nr. 2 = Murzynka z Kamerunu, nr. = 3 Włoszka, nr. = 4 Węgierka, nr. 5 = Turczynka z haremu, nr. 6 = Angielka, nr. 7 = dziewczę z Portugalii, nr. 8 = Finka z Karelii, nr. 9 = Arabka z franc. Maroka, nr. 10 = Tancerka z Bali (Indie Holenderskie), nr. 11 = Niemka, nr. 12 = Eskimoska, nr. 13 = młoda dziewczyna z Norwegii, nr. 14 = Dunka, nr. 15 = Japonka, nr. 16 = Polka spod Krakowa, nr. 17 = dziewczę z Uzbeskistanu, nr. 18 = Hinduska, nr. 19 = Chinka, nr. 20 = Rumuńska Cyganka, nr. 21 = Amerykanka, nr. 22 = Paryżanka, nr. 23 = Bułgarka, nr. 24 = dziewczyna z Argentyny, nr. 25 = Tancerki ze Siamu, nr. 26 = Holenderka, nr. 27 = Egipcjanka.

W przyznaniu nagród, Jury konkursowe, brało pod uwagę, nie tylko trafność rozwiązania, lecz także, poprawne uzasadnienie rozpoznania.

Poniżej zamieszczamy kilka wyjątków z trafnych rozwiązań, które uzyskały nagrody. Nagrody zostaną wysłane przekazem pocztowym.

Redakcja dziękuje wszystkim uczestnikom za udział w konkursie, gratuluje nagrodzonym, zaś nienagrodzonym życzy powodzenia w przyszłym konkursie.

NAGRODZENI

I. **nagrodę w kwocie 150 zł** otrzymali p. **A. i B. Kmieciowie** — Kraków.
II. **nagrodę w kwocie 100 zł** otrzymał p. **Jerzy Osiecki** — Zamość.
III. **nagrodę w kwocie 50 zł** otrzymała p. **Jadwiga Skurska**— Warszawa.

Nagrody pocieszenia po 10 zł otrzymali:

I. p. **Michał Janik** — Kłobukowice koło Częstochowy, — za trafne rozwiązanie.
II. p. **Jadwiga Dutkiewicz** — Zamość — za trafne rozwiązanie.
III. p. **Lesław Grzegorczyk** — Rzeszów — za ładny wiersz.
IV. p. **Marian Wiśniewski** — Falkenhein — za pomysłowe rysunkowe rozwiązanie.
V. p. **Zdzisław Bogusławski** — Radomsko — za wierszowane rozwiązanie.
VI. p. **Stanisław Mazur** — Lwów — za oryginalne rozwiązanie pisane gwarą lwowską.
VII. p. **Maria Wiśmierska** — Czortków — za wierszowane rozwiązanie.
VIII. p. **Jadwiga Stamperówna** — Stanisławów — za wierszowane rozwiązanie.
IX. p. **Janina Komorowska** — Warszawa — za wierszowane rozwiązanie.
X. p. **Zbigniew Graczyk** — Gorlice — za ciekawe rozwiązanie.

Wyjątki z rozwiązania nadesłanego przez p. **A. i B. Kmieciów z Krakowa:**

Nr. 3. Smagła Włoszka. Oczy i włoski strój ludowy bezapelacyjnie przemawiają za tym, że pod nr. 3 kryje się właśnie nie kto inny, jak tylko Włoszka. Brzoskwinie w ręku i strój, a raczej charakterystyczny czepek z długimi wstążkami i kokardą na głowie, noszą Włoszki w czasie tzw. karnawału brzoskwiniowego urządzanego rok rocznie w Rzymie. Kombinowane korale i długie lecz mniej ozdobne kolczyki uzupełniają strój. Jeśli przypatrzymy się im bliżej, zauważymy, że pod strojem ludowym kryje się jednak „panna miastowa", którą zdradzają widoczne na fotografii manicure precyzyjnie wykonane. Gorący temperament smukłej Włoski jako cecha dziewcząt południowych wyraziście bije z oblicza tej oto uśmiechniętej dziewoi

Nr. 10 i 25. Bogato zdobione diademy, korale, kolczyki i profil, układ ust, oczu, brwi, wszystko to klasyczne w swej piękności, pełnej egzotyki i czaru przemawia, że Daleki Wschód jest kolebką tych oto tancerek. Szaty kapią złotem, srebrem, diamentami, jedwabiem, koralami. Ekstaza w wyrazie i ruchach, to coś dla nas tak bardzo mało zrozumiałe, choć bardzo pociągające.

Zachodzi jednak duża trudność przy oznaczeniu, która jest z Indii Holend., a która ze Siamu. Jednak przy dokładnym rozpatrzeniu rozpoznamy, że u tancerek pod Nr. 25 rysy twarzy mocniej zbliżone do japońskich, jako że Siam jest położony bliżej Japonii. Ponadto tancerki z Indii Holend. były już pokazane w IKP.

Nr 5 Turczynka z haremu oraz nr 9 Arabka z franc. Maroka. Dla lepszego zobrazowania naszego rozwiązania pokusiliśmy się o paralelę tych dwóch przedstawicielek świata muzułmańskiego. Wiemy z opisów, że kobiety tubylcze w francuskim Maroku noszą kwef, podobnie jak i konserwatywne Turczynki. Różnica zasadnicza polega jedynie w kolorze i materii kwefu: u Turczynek bywa on koloru szarego lub czarnego, podobnie jak u niektórych ludów kaukazkich, i na Krymie, natomiast u Marokanek, jest on koloru białego. Zresztą zdjęcie oznaczone nr 5-tym przedstawiające lubieżną młodą kobietę z haremu było już zamieszczone w nr 51 polskiego tygodnika „Na szerokim Świecie", z roku 1934. Prócz kwefu, charakteryzuje marokańską Arabkę jej wzrok; z wyrazem przerażenia i podejrzliwości jako rys kobiety-niewolnicy, podczas gdy obok umieszczona Turczynka ma wyraz bardziej spokojny, jakkolwiek również niewolnica, lecz bardziej zmodernizowana. Szczególnie Atatürk wprowadził wiele inowacji europejskich w zwyczajach haremowych. Dekoracyjne świecidełka i błyskotki, pięknie utrefione włosy, ozdobione diademem, szaty w desenie tureckie, wielobarwne, koszula wolna, niekrępująca oraz ozdobny komplet różnorodnych srebrnych i złotych monet, to także cecha właściwa Turczynkom, z haremu, a niedostępne Arabce z Maroka. Tej ostatniej w najlepszym wypadku pozostało jedynie okrycie głowy kwefem, zdobiąc go nad czołem białym haftem, olejkiem wonnym natrzeć ciało i ukryć się w ciasnym domku glinianym przed upalnym słońcem północnej Afryki. Odnośnie celu, jaki ma nakładanie kwefu należałoby sięgnąć do historii najstarszych ludów arabskich. Dziś sami Arabowie tłumaczą, że kwef zakrywa piękno kobiety, strzeżone przez zazdrosnych mężów przed lubieżnymi spojrzeniami obcych. Czy istotnie pierwszy kwef miał to zadanie spełniać — niewiadomo.

Wyjątek z rozwiązania nadesłanego przez p. **J. Skurską z Warszawy:**

Nr 12 = Eskimoska

Tu znowu typ nie budzący żywszych wątpliwości. Eskimoska o cechach typowych dla rasy żółtej, mongolskiej. Są to: wystające kości policzkowe, nos szeroki, twarz płaska, nad oczyma górna powieka opada w grubą „fałdę mongolską" powodując wrażenie skośnych szpar ocznych.

P. **Jerzy Osiecki — z Zamościa** — zdobywca drugiej nagrody, tak rymuje:

19 Chinka
Gdzie ród męski ma warkocze,
Naród nosi godło smocze,
Gdzie szczur — smaczna leguminka
Stamtąd właśnie ta dziewczynka.

26 Holenderka
Ta dziwaczna magnifika
Z kraju pewnie jest Van Dycka
Tam obszary wielkich łanów
Chryzantem i tulipanów.

13 Norweżka
Na cichego fiordu brzegu
Gdzie się morze w góry wcina
Wśród bliźniaczych chat szeregu
Pięknej Soni to kraina.

24 Argentynka
Gdzie zielone są pampasy
Albo piniorowe lasy
Stamtąd właśnie ta dziewczyna
A jej krajem... Argentyna.

Wyjątki z rozwiązania nadesłanego przez p. **Stanisława Mazura ze Lwowa:**

— Ali tu tyli tegu jest, ży ja takuj bym ni umiał wybrać, chyba te, co du mojij Mańki trochy pudobna.

— Ta czekaj, ty zera wszendzi swoji Mańki widzisz. Najpirw sy puwoli przeczytaj o cu chodzi i byndziemy wybirali.

— Ta na cu? Ja i tak wim, ży przegram...

— Iiii... ty zbereżniku, ty by zera chciał forsy brać, Ani klawa to rzecz, tak sy w nudny godziny pusiedzić i nacieszyć si zgadywanim to ta, to tamta, a to insza? Czy zera trzeba u forsi myślić?

— Hm, masz niby trochy racji, nu tu si posuń niech i ja sy siendny, by lepi szpanować. Ta piersza to pani Janowa z Kozij ulicy, co menża...

— Ta cichu, ty pału kapuściana, znowuż ci mam tłumaczyć jak i co. Czy ni widzisz te gęby hiszpański, te czarny włosy, te pirścieni na czoli i uchach? Czy ni poznajisz, że tym nr 1 to naprawdy „pirszy numer" hiszpańskij Mańki. — Abu nr 2, czegu ty zamknuł oka, tak ci nudnu przy tym pienknym Kurierku?

— Ni... inu Stachu... ja takuj ni bendy zgadywał ten nr 2. Ja jezdy uczciwy człowik...

— Maci mi tu świntoszka. Ty pewni nigdy goły piersi ni widział. Trzeba by si spytać twoji... Nu, nu ni czerwiń si tak inu szpanuj i gadaj. Kto to jest? Czy ją znasz?

— Anu, Murzynka! **Kto by** inszy taki bystydnik był. Zresztu taki gruby wargi, szyroki nos, i...

— Nu dobrzy, dobrzy, to ubywatelka z Kamerunu.

— Popatrz jak si uśmicha du ciebi ta pod 4 nr. Madziarka. Fajna kubita. Przy nij winugrony, które ty frajir możesz tylku puwąchać.

— Ty sam frajir w kuper bity i byz głowy, że mówisz o takij panientce i bakaliach.



— „Co za głuptas ten malarz; — opowiadał wszystkim dokoła, że [w]ystawione tutaj obrazy, malował wyłącznie z natury...“ (Koralle)



Ryba piła, do żony: „Proszę cię bardzo, wytłumacz mi, jakim cudem nasz najmłodszy chłopak z kołową piłą przyszedł na świat?“ (Das Illustrierte Blatt)

ŚWIAT SIĘ ŚMIEJE



Żyrafa do córki: „Nie możesz przecież zaprzeczyć, że narzeczony [t]wój, zupełnie zakręcił ci głowę“. (Koralle)

Sędzia: — Pan tu zeznaje w charakterze świadka awantury pomiędzy pańskim przyjacielem, a jego żoną. Czy był pan obecny przy początku tego zajścia?

Świadek: — Tak jest, byłem świadkiem przy ich ślubie.

•

— Wie pan, postępowanie mego siostrzeńca tak mnie gniewa, że koniecznie chciałbym go wydziedziczyć...

— No, właściwie nic temu nie stoi na przeszkodzie...

— Ja to wiem, proszę pana — ale niestety nie mam go z czego wydziedziczyć!

•

— Wie pan, że jestem trochę zdziwiony — mówi jeden adwokat do drugiego — iż ten świadek, który od godziny niemal znajduje się w ogniu krzyżowych pytań zadawanych mu ze wszystkich stron, zachował dotąd zupełny spokój i zimną krew...

— Nie dziwiłby się pan, gdyby pan, tak jak ja wiedział, że jest on ojcem dziewięciorga dzieci...

•

W biurze pan dyrektor i zarazem właściciel przedsiębiorstwa wygłasza jakiś dowcip. Wszyscy, oczywiście obowiązkowo, śmieją się głośno. Przy jednym tylko biurku młody człowiek siedzi niewzruszony. Zgorszony starszy kolega pyta go: — „co to znaczy, czemu się nie śmiejesz?"

— „Bo nie potrzebuję, odchodzę przecież od pierwszego!"

Pan Ludwik idący z przyjacielem ulicą, zatrzymuje się przed wystawą jubilerską i po dłuższym przypatrywaniu się, powiada do towarzysza:

— Kupiłbym coś z tej wystawy, gdybym wiedział — co moja narzeczona życzy sobie na imieniny...

— No, to spytaj się jej po prostu.

— E mój drogi, tyle to ja przecież wydać nie mogę.

•

— Proszę pana — mówi lekarz — pan nie osiągnie starszego wieku, jeżeli pan dalej w takiej ilości będzie pił piwo i wino...

— Co pan doktór mówi — więc ten szlachetny trunek rzeczywiście utrzymuje młodość?

•

Nauczyciel:—Daj mi przykład Józiu na pojęcie: wiele i mało.

Józio po chwili zastanowienia: — Jedna cegła jest mało, gdy ktoś chce wybudować dom, ale jest wiele, gdy spadnie komuś na głowę.

•

Podczas lekcji gry na fortepianie pyta nauczycielka małego Jasia: — Dlaczego nie przerywasz tu gry na kilka taktów, czy nie widzisz napisu: „pauza"?

Mały Jaś uśmiecha się rozbrajająco: — Tak, proszę pani, ale ja naprawdę nie jestem jeszcze zmęczony.

•

Pani Gadulska odwiedziła panią Nowakową i obie opowiadały sobie ostatnie nowinki. Pan Nowak siedział w czasie tych odwiedzin w kącie pokoju i starał się czytać gazetę. Po pewnym czasie pożegnała się pani Gadulska.

— „Jak taka pogawędka orzeźwia — powiedziała po jej wyjściu pani Nowakowa do męża — miałam taki straszny ból głowy i przeszedł zupełnie w czasie rozmowy."

— „Niestety, przeszedł na mnie—odparł na to pan Nowak gdyż ja go teraz dostałem."

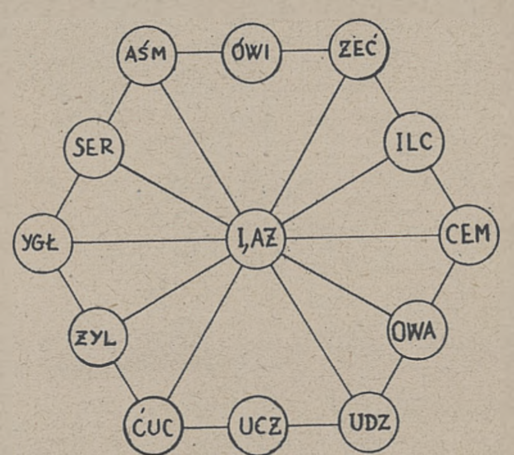
•

— Jeżeli dzwonek przy pańskim rowerze nie funkcjonuje, musi pan zsiąść i popychać rower, — zwraca policjant uwagę rowerzyście.

— Już tak zrobiłem przed chwilą, a jednak mimo tego dzwonek nadal nie chciał funkcjonować, — odpowiada dobrodusznie rowerzysta.

Rozrywki umysłowe

ZAGADKA LICZBOWO-LITEROWA



W kółkach wypełnionych literami, należy umieścić liczby od 1 do 13 tak, by suma cyfr wzdłuż każdej prostej wyniosła 21.

Liczbę 1 należy umieścić w kole, w którym znajdują się litery: „SER".

Litery czytane kolejnością liczb, utworzą przysłowiowe zdanie.

ROZWIĄZANIE ZADAŃ Z NR. 38

KŁOPOT Z ZEGAREM

Żaden zegar nie może się spóźnić więcej niż o 6 godzin, gdyż przy 7-miu godzinach spóźnienia położenie jego wskazówek jest takie samo jak wtedy, gdy zegar idzie 5 godzin za wcześnie. Zamiast 4 godziny za wcześnie, zegar szedł w rzeczywistości 8 godzin za wolno, a więc pan Jerzy był 6 tygodni w podróży.

SZTUKA Z FLASZKĄ

Kazio wlał wody do flaszki i kawałeczki drzewa same podpłynęły na wierzch tak, że mógł je łatwo wyjąć palcami.



ZWÓZKA ZIEMIOPŁODÓW

Aktualne zdjęcie o poprawnej kompozycji rysunkowej i malarskiej. Dzięki fragmentarycznemu ujęciu, uzyskano jednolity motyw tematu. Nadesłał p. Julian Kuźnik z Chobotu koło Zabierzowa. Aparat Kodak Retina I. Bliższych danych brak.



PRZEPOWIEDNIA LOSU

Zdjęcie o dobrym temacie, jednak przeładowane ciężkim tłem i złym ugrupowaniem osób. Nieumiejętne podchwycenie momentu zdradza najwyraźniej jego upozowanie. Wykonał p. Adam Wójs z Limanowej. Ap. Bessa Voigtländer, przysł. 5,6, czas naświetl. 1/25 sek.

UWAGA! FOTOAMATORZY!



OPOWIADANIE GRAJKA

CZY TO GWARNA ZABAWA, CZY HUCZNE WESELISKO — GRAJEK PODOLSKI REJ WODZI.

UMIE ON SKOCZNĄ NUTĄ, STĘSKNIONE SERCA MŁODYCH PODOLANEK ROZWESELIĆ, LUB ZBYT ROZOCHOCONE, RZEWNĄ MELODIĄ ZASMUCIĆ.

A GDY GRA UMILKNIE — WÓWCZAS WOKÓŁ NIEGO ZBIERA SIĘ MŁODZIEŻ, BY AKTUALNEJ PIOSENKI LUB OPOWIADAŃ POSŁUCHAĆ.

Fot: B. Czubaty — Tarnopol